Nr. 27. We Lwowie dnia 7. lipca 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Mikołaj I. i Królestwo kongresowe.

N. Szildier: „Mikołaj I. i Polska“.

Russkaja Starina r. 1900.

Aleksander I. umarł. Umarł daleko na południu w dziwnem jakiemś odosobnieniu. Dało to powód do najdziwaczniejszych pogłosek i przypuszczeń. Pogłoski te były może wynikiem psychologji ludu rosyjskiego, tak skłonnego do tworzenia legend o pozornej śmierci panujących, ale uwarunkował je także charakter osobistości dziejowej, która obecnie schodziła ze sceny. Człowiek ten, jako człowiek, był zagadką dla wszystkich. Nie zrozumiał go ani wielki znawca ludzi — Napoleon, ani nasz książę Adam, ani opinja nasza ówczesna polska. Ludziom zdawało się często, że już uchwycili jego rysy zasadnicze, trzymają mu rękę na sercu, ale zbyt prędko, ku własnej krzywdzie, przekonywali się o złudzeniu. Tak było z Napoleonem, tak z księciem Adamem, ze Sperańskim, z ks. Wołkońskim, z tyloma innymi wreszcie. Historja biednego entuzjasty Karazina niech tu będzie dowodem. Karazin po wstąpieniu Aleksandra na tron, napisał doń bezimiennie list entuzjastyczny. Autora wyszukano, cesarz zbliżył go do siebie, popierał. Trwało to jednak bardzo krótko, Karazin stracił kredyt, a zbliżenie się do cara stało się dlań powodem katastrofy. Gdy w roku 1820 w czasie rozruchów w gwardyjskim pułku Siemionowskim, w koszarach innych pułków gwardji znaleziono podrzucone proklamacje i policja nie mogła wykryć autora, Aleksander przypomniał sobie dawnego przyjaciela, wyszukał jego listy i — li tylko na podstawie podobieństwa charakteru pisma, kazał niewinnego osadzić w Szlisselburgu.

Tak samo postąpił ze Sperańskim. I tylko jeden może człowiek, — człowiek, który był zawsze na usługi, a który nie raził Aleksandra swemi zaletami, dotrwał w łasce do końca. Człowiekiem tym był Arakczejew.

Psychologja cara — to mieszanina sprzeczności najjaskrawszych, a jednak tak harmonijnie spojonych, że tylko brak zupełny uczuciowości silniej może to tłómaczyć. Był wyjałowionym uczuciowo, miał żywą wyobraźnię, ale wyobraźnię na chłodno; tacy ludzie nie potrzebują przyjaciół, nie przywiązują się do planów. To też Aleksander był zarazem uczniem Laharpe'a, przyjacielem Parrota i księcia Adama — i równocześnie przyjacielem Arakczejewa, twórcy osad wojskowych w Rosji; był twórcą planu konstytucji dla Rosji, królem polskim konstytucyjnym, uwielbianym przez liberalne pisma europejskie, a równocześnie protektorem „ministerjum ciemności“ i obskurantyzmu w Rosji, był przedstawicielem i głosicielem legitymizmu w Europie, a zarazem odnowicielem pomysłu greckiego Katarzyny II., monarchą, podburzającym Słowian w Austrji, Greków na półwyspie bałkańskim.

Schodził teraz ze sceny dziejowej pod ciężarem wyjątkowej niepopularności, ze względu na interes Rosji umierał za późno, nie tak, jak jego dwaj bracia, jak ojciec. Zgonu jego wyczekiwano dawno, bo miał on, jak burza, oczyścić powietrze, usunąć ten bolesny stan wysiłku, oczekiwania, który panował w latach 1820 — 1825. Nieraz, w ciągu jego panowania, groziło mu większe niebezpieczeństwo, choćby wtedy, gdy mówił Sadary'emu o spisku na swe życie (1809), gdy po zajęciu Moskwy przez Francuzów, w rocznicę swej koronacji, jechał między żoną i matką, do soboru Kazańskiego, przysłuchując się ponuremu milczeniu ludu; ale nigdy jego istnienie nie było tak uciążliwem dla wszystkich, jak w ciągu ostatnich lat pięciu jego panowania.

Zabierał ze sobą do grobu swą tajemnicę. I to nie tylko publiczną tajemnicę istnienia w armji rozgałęzionego spisku, nie tylko tajemnicę aktu abdykacji Konstantego, ale w pierwszym rzędzie tajemnicę swych planów polityki rosyjskiej zagranicznej, z którą tak ściśle związanem było istnienie Królestwa kongresowego.

Aleksander I. i kwestja polska — to najżywotniejsza karta jego życia, karta, na której, jak

w kalejdoskopie przesuwają się przed nami młodzieńcze rozmowy z księciem Adamem podczas przechadzek w ogrodzie carsko-sielskim, pobyt w Puławach przed wymarszem na pruską Warszawę w r. 1805, rozmowy z Napoleonem w Tylży i Erfurcie, propozycje księcia Golicyna z r. 1809, misja ks. Adama do Księstwa w r. 1811, a w końcu cała dziwna, dobrze po dziś dzień niewyjaśniona historja Królestwa kongresowego.

Na tron wstępował teraz człowiek z całkiem różnego odlany kruszcu. Nie było w nim ani krzty chwiejności Aleksandra: zawsze wolał burzę od bolesnego wysiłu, — nie było, jak sam często lubił powtarzać, dwulicowości brata, nie było jednak i jego szerszych polotów. Ale to ostatnie może nawet było lepszem, wygodniejszem dla Rosji: w czasie jego rządów organizm nie rzucał się na prawo i na lewo, ale poszedł tradycyjną, dobrze utorowaną drogą. To — węższa, ciaśniejsza koncepcja dziejowa, ale za to tem pewniejsza, tem sprawniejsza w praktyce.

W pierwszym rzędzie odbić się to musiało na polityce polskiej cesarstwa, panowanie bowiem Aleksandra — w sprawach polskich — odrzuciło, na razie przynajmniej, tradycyjny pogląd Katarzyny II., tak popularny w Rosji, odrzuciło w imię szerszych planów dziejowych. Za Katarzyny ostatecznem hasłem polityki rosyjskiej względem Polski — stało się utrzymanie stanu rzeczy z czasu 3-go rozbioru i energiczna rusyfikacja ziem zabranych. Miano wtedy wciąż na ustach zdania o prawie historycznem Rosji do tych ziem. Trzeci rozbiór uświetniano wybijaniem medali, na kształt późniejszych unickich, których napisy mówiły o powrocie synów marnotrawnych na łono ojczyzny. Gdy Hertzberg w r. 1795 z pewnem lekceważeniem wyraził się o tych prawach historycznych Rosji, Katarzyna zarzucała mu (w liście do Grimma) nieuctwo historyczne; odwoływała się wtedy do historji i z erudycją dzisiejszych obrusitieli, dowodziła, że ona właściwie „nie posiada ani piędzi ziemi polskiej“.

Tak nie przemawiałby Fryderyk, tak mogła mówić tylko spadkobierczyni tradycji Iwana Groźnego, dopominającego się „o naszą wotczinę Jurjew“. I to stanowisko względem sprawy polskiej — z wyżyn tronu przenika całą opinję publiczną, na niem wykształci się całe młode pokolenie z czasów Aleksandra, aż do dekabrystów włącznie.

I, gdy Aleksander wystąpi ze swymi planami co do Polski, to w całym narodzie odezwie się jeden ogólny okrzyk oburzenia. Plany te w. r. 1805 popierać będzie tylko garść ludzi, na kongresie wiedeńskim cesarz będzie zupełnie odosobnionym, a gdy w r. 1817 dojdą do Petersburga pogłoski o mającem nastąpić przyłączeniu Litwy do Królestwa, w kółku przyszłych dekabrystów, zaświta myśl carobójstwa. „O sprawę polską, powie w końcu cesarzewicz Konstanty, jak o skałę — rozbiła się ostatecznie sympatja Rosjan do cesarza“. „Cesarz Aleksander, powie Orłow, zasiał wiatry, a jego następca musiał zbierać burze“.

Rzeczywiście pomiędzy koncepcją Katarzyny II. i Aleksandra — różnica ogromna. Tu mamy do czynienia z wyraźnym planem zjednoczenia w ręku Rosji całości ziem polskich, wyzyskania sił narodu polskiego do celów polityki Rosji. Tak przynajmniej przedstawia się sprawa w r. 1814 do 1815. Kongres wiedeński zniweczył te plany. Zamiast całej Polski, całego Księstwa ostatecznie, dostało się Rosji tylko Królestwo, dostało się z zastrzeżeniem, że związanem jest z nią przez swą konstytucję, która z czasem zostanie rozpostartą na prowincje zabrane, uzyska „wewnętrzne rozszerzenie“.

Stan rzeczy, wytworzony w ten sposób, musiał być z natury swej czysto przejściowym, Królestwo, może nie w tak wybitny jak Księstwo sposób — miało być obozem wojennym, w genezie swej zawierało albo powstanie r. 1830, albo wyprawę na Belgję r. 1830. W pojęciu mocarstw kongresowych miało być strażnicą wojenną zachodu, w pojęciu Rosji — wschodu; i tu i tam myślano tylko o wojnie, tylko o stanie przejściowym, nikt nie uważał sprawy polskiej za rozstrzygniętą. W pojęciu mocarstw kongresowych konstytucja Królestwa miała być hamulcem dla Rosji, w myśl Rosji środkiem trwałego pozyskania Polaków, aktem łaski dla nich. Na wszelki wypadek uczyniono ją bardzo giętką i plastyczną. Słynne „Zasady do Konstytucji“ napisano, zdaje się, więcej dla wywołania wrażenia w Europie, konstytucja zaś rzeczywista — bardzo dobra, bardzo liberalna, na wszelki wypadek zawierała parę bardzo dwuznacznych punktów.

W pojęciu narodu naszego — stan wytworzony — był stanem przejścia. Pod względem politycznym może mniej sympatycznym od czasów Księstwa, ale który znieść należało w imię nadziei owego „rozszerzenia wewnętrznego konstytucji“.

Rządy Aleksandra, postępowanie cesarzewicza Konstantego — rozwiały wiele złudzeń naszych mężów stanu, ale nie usunęły tego jednego zasadniczego — wiary w możność pokojowego uzyskania od Rosji ziem zabranych. To złudzenie, zręcznie podtrzymywane przez Aleksandra I., mające za sobą bardzo wiele słusznych pozorów, pozbawiło nas wtedy świadomości naszej roli w tym okresie, uczyniło w rezultacie naród bezbronnym w czasie zmiany systemu państwowego Rosji za Mikołaja. Na upadek powstania listopadowego złożyło się wiele czynników: było tu i przecenianie siły państwowej Rosji, którą odziedziczyliśmy po Napoleonie, i złe pod względem wojskowym prowadzenie kompanji, wywołane przez brak talentów wojskowych — i fatalna sytuacja międzynarodowa i działanie dalsze tej depresji, która ogarnęła naród po katastrofie r. 1812, ale to wszystko są czynniki poboczne. Głównym była tu wiara w możność pokojowego załatwienia sprawy, którą przepojono społeczeństwo na-

sze w tym okresie, a która wynikała z nieznajomości Rosji i jej roli międzynarodowej, tak nawskróś sprzecznej z całą naszą przeszłością i naszemi zadaniami narodowemi.

A panowanie Mikołaja, który oczyścił atmosferę wewnętrzną Rosji, tłumiąc bunt grudniowy, miało nareszcie oswobodzić Rosję od tarcia wewnętrznego i pozwolić jej na wyzyskanie tego dominującego w Europie stanowiska, jakie zajęła za Aleksandra I.

Wacław Tokarz.

(C. d. n.)

2)

O wpływie trunków alkoholicznych

na organizm zwierzęcy i ludzki.

Wraz z kolegami, będąc na studjach w Dorpacie, założyliśmy kółko niepijących. W późniejszym czasie, jako lekarz, wymagałem od pacjentów wstrzemięźliwości alkoholicznej zupełnej, zaś bawiąc we wschodniej Syberji i na Kamczatce starałem się, o ile starczyło mi środków i wpływów, usuwać od ludności tubylczej wszelkie okoliczności, sprzyjające pijaństwu. Że głos mój po większej części był głosem wołającym na puszczy, że nie zawsze starania moje były uwieńczone skutkiem pożądanym, że nieraz musiałem sam tolerować używanie trunków i symulować nadto chorobę sercową, ażeby potrafić uniknąć pijatyk przymusowych — nie zrażałem się tem wcale, albowiem byłem i jestem przekonany, że prawda prędzej lub później zwyciężyć musi, a prawdą tą dla mnie w obecnej kwestji jest przekonanie, że napoje alkoholiczne są szkodliwe i dla jednostek i dla społeczeństw, i że dopiero wtedy na postęp w moralności liczyć będzie można, gdy ludzie odzwyczają się od picia trunków wyskokowych. Porównywając czasy republiki rzymskiej z naszymi, odnośnie do nauk i techniki, znajdziemy postęp więcej, niż olbrzymi, ale gdy porównywać będziemy moralność obu tych perjodów, chyba postępem szczycić się nie potrafimy. Napróżno się chwalimy, że została nam ułatwioną droga do moralności przez naukę Chrystusa, przez śmierć męczeńską Syna Bożego, bo cóż stąd, kiedy z tych nauk korzystać nie umiemy, a przykład jego śmierci, poniesionej za prawdę i sprawiedliwość, żadnego wpływu na nas nie wywiera. Gdzie mamy szukać przyczyn takiego stanu rzeczy? — Według mego zdania, nie w czem innem, jak w alkoholu.

Nie wiem, czy kto z obserwatorów niepijących, miał tak ogromną sposobność widzenia z blizka skutków pijaństwa, jak mnie to przypadło w udziale. Wiele, wiele chwil smutnych i ciężkich przeżyłem, patrząc na agonję fizyczną i moralną kolegów i przyjaciół, po większej części ludzi wielkich zdolności i wielkich nadziei; zebrałem faktów setki, z których się prosty wysnuwa wniosek, że każdy kieliszek wina wypity, każdy kufel piwa, wlany w siebie, obniża wartość moralną człowieka, na pewien, dla oka zwykłego widza prawie niedostrzegalny, ułamek znaczony w skali moralności. Ziarnko do ziarnka a zbierze się miarka, stąd też ten dziwny wyrasta stosunek, że pijący regularnie, umiarkowanie i nieumiarkowanie inną mają skalę dla oceny moralności, i inną cierpliwość tolerancyjną na brudy moralne, niż ludzie niepijący wcale. Brak, tak zwanej opinji publicznej, obojętność na wady, ułomności i przestępstwa w społeczeństwie, są cechą upadku moralnego, którego źródłem jest tylko alkohol.

Zewsząd nam głoszą i stwierdzają faktami, że lud jest moralniejszy, niż warstwy społeczne, tak zwane wykształcone. Szukając przyczyny takiego zjawiska, musimy przyjść do przekonania, że regularne, stałe, nawet umiarkowane spożywanie trunków wyskokowych, bardziej zgubne pociąga za sobą skutki, niż picie okolicznościowe nieumiarkowane *). Faktów nagromadzonych

*) Na dowód, że uczucie sprawiedliwości i słuszności łatwiej się zagłusza piciem stałem, nawet umiarkowanem, aniżeli okolicznościowem nieumiarkowanem, posłużyć mogą przykłady następujące. Wybieram je z setek innych, obserwowanych w różnych okolicach kraju i za granicą.

W pewnem mieście przychodzi lokator do bogatego właściciela kilku paradnych kamienic, a nadto piastującego korzystny urząd dyrektora banku — w celu wynajęcia pomieszkania, mającego się składać z pewnej ilości pokojów mieszkalnych, z kuchni, spiżarni itd., a nadto jeszcze i z łazienek. Przy opatrywaniu pomieszkania, łazienki owe były zamknięte, ale stróż potwierdził, że one tam są, zresztą, czy można było wątpić o prawdzie słów ogłoszenia, skoro były pisane ręką samego dyrektora banku, i już z tego tylko tytułu, mającego obowiązek być uczciwym. Lokator najmuje pomieszkanie i daje na zadatek 30 złr. czyli 60 koron.

przedstawić tu mogę nie wiele, wybieram z nich nawet nie najbardziej jaskrawe, ale pragnąłbym przelać na tę drobną stosunkowo ilość przykładów podanych, taką moc przekonywającą, któraby potrafiła wzbudzić w słuchaczach pragnienie, aby zerwać z przesądami wiekowymi i rozpocząć nową erę życia społecznego, towarzyskiego. Dzisiaj witam z radością najszczerszą postęp w kierunku,

---

Przed upływem 24 godzin od chwili najęcia, dowiedziawszy się, że łazienek niema, lecz zamiast nich jest tylko dosyć obszerny wychodek, gdzie można byłoby umieścić wannę, gdyby chciał lokator sam ją kupić dla gospodarza, nadto mając inne jeszcze powody do zrzeczenia się najętego mieszkania, wraca lokator do gospodarza i oświadcza, że jest zmuszony zerwać układ uprzednio zawarty, przyczem pozostawia zadatek światłemu i sprawiedliwemu sądowi dyrektora banku, który przecież rozstrzyga codziennie daleko zawilsze kwestje pieniężne i z równą prawdopodobnie sprawiedliwością i równym zapewne światłym sądem zechce uskutecznić to samo i obecnie. Dyrektor banku odpowiada na to, że ponieważ inny lokator, pan B. zgłosił się był przed kilkoma godzinami z zamiarem wynajęcia lokalu, lecz mu odmówiono, bo już było w inne ręce oddane, przeto uważa za słuszne zostawić zadatek przy sobie, jako odszkodowanie, za poniesione rzekomo straty swoje.

Lokator, nie mając żadnej racji do powątpiewania o prawdomowności dyrektora banku, posyła natychmiast stróża do pana B. z oświadczeniem, że jeżeli trwa przy zamiarze najęcia lokalu, może to uczynić teraz. Na propozycję, przesłaną przez stróża, odpowiada p. B., że nigdy nie myślał o wynajęciu rzeczonego pomiemieszkania, wprawdzie oglądał je, ale tylko tak, mimochodem.

Niepijący ludzie uznaliby z pewnością postępowanie p. dyrektora banku za niemoralne i nieszlachetne. W opinji pijących uchodzić to będzie niezawodnie za zwykły wypadek, powtarzający się codziennie w danem mieście i będą się tylko dziwili tacy ludzie, powiadając, jak można być tak naiwnym i wierzyć zapewnieniom ogłoszeń i jak można dawać na zadatek tak znaczną sumę.

Jako „pendant" do powyższego przykładu przywiodę inny.

Do Zakopanego przyjeżdża prof. K. w celu wynajęcia pomieszkania na lato. Umawia się z pewną wdową, góralką zakopiańską i daje jej zadatek. Po trzech dniach pobytu w tem miejscu, dowiedziawszy się, że mąż góralki umarł przeszłej zimy na gruźlicę, przychodzi do niej z oświadczeniem, że nająć tego pomieszkania nie może. Biedna wdowa poszła natychmiast do alkierza, wyjęła ze skrzyni zadatek i doręczyła prof. K.

Jeżeli się zastanowimy nad tem, dlaczego góralka jest szlachetniejszą i moralniejszą od dyrektora banku i właściciela kilku paradnych kamienic, to nie możemy znaleźć innej przyczyny nad tę, że góralka należy do rzędu tych ludzi, którym nie starczy na regularne codzienne wydatki na trunki alkoholiczne. Przeciwnie, dyrektorowi banku stać na wino i piwo przy obiadach i kolacjach, stać na kokoty i szampany, spijane w „cabinets privés", po każdem wysłuchaniu oper wspaniałych, i stać także na wiele innych rzeczy jeszcze, które wszystkie razem wzięte, zabijają powoli instynkta moralności i szlachetności, a natomiast użyźniają pole egoizmu.

Jeszcze parę przykładów.

Mieszkając przed laty w pobliżu ogrodu botanicznego, miałem go zawsze z okien moich, na wiosnę, jak na dłoni. Pewnego razu widzę, jak dwie damy, elegancko ubrane, z mufkami w ręku, przypatrują się coś z bardzo bliska hjacyntom, tulipanom i innym cybulkowatym roślinom, posadzonym tam na wiosnę i będącym podówczas w pełnym kwiecie. Zaciekawiony tą ich czynnością, wziąłem binokl do ręki i przy jego pomocy spostrzegłem, że młodsza z dam, dorastająca panienka, wykopuje bardzo zręcznie hjacynty i jeszcze zręczniej wsuwa je do mufki, następnie widzę, że oddaje tę mufkę starszej damie i bierze z rąk tamtej inną, którą również wypełnia wykopanymi kwiatami. Oburzony takim postępkiem dam, spieszę do uniwersytetu i powiadam bedelowi, że jakieś kobiety wykradają rośliny z ogrodu botanicznego, więc gdy będą wychodziły tędy, trzeba je aresztować i odebrać im rośliny skradzione. Bedel sądząc, że będzie miał do czynienia nie z arystokracją, gotów był na moje wezwanie aresztować kobiety rzeczone. Wyszliśmy więc na ganek uniwersytecki i czekamy. Po chwili wychodzą damy z ogrodu, poznaję je i powiadam: „Oto są owe kobiety-złodziejki". Bedel spojrzawszy na damy, rzecze do mnie półgłosem: „Ale to jest żona dygnitarza, a to jej córka. — Więc cóż, żona dygnitarza może kraść bezkarnie?" Nie wiem, odpowiada Bedel, ale ja aretować tych dam nie mogę. Poczem składa najniższy ukłon mijającym nas paniom, gdy one przeszły dumnie z podniesionemi głowami, jak gdyby kradzież w ich przekonaniu była cnotą, a nie występkiem.

Przykład przeciwstawny tamtemu jest następujący.

Siedząc raz w ogrodzie botanicznym, w cieniu drzew z dziećmi, widziałem, jak kobieta, nosząca się bez kapelusza, więc nie dama, obdzielała klapsami dziewczynkę mniej więcej sześcioletnią, klapsy musiały być szczere, bo dziecko się rozpłakało. Gdy owa kobieta przechodziła mimo naszej ławki, zapytałem ja, za co biła dziewczynkę? — „Bo zrywała kwiatki" odpowiedziała kobieta, i dodała na swoje usprawiedliwienie zdanie następujące: „Nie można pobłażać dziecku, bo gdy się raz tylko rwać kwiaty w ogrodach nauczy, odzwyczaić potem od tego nałogu nie można". Jakże szczerze żałowałem, że tego powiedzenia kobiety z ludu, słyszeć nie mogły damy, noszące kapelusze na głowie

Na karb niewiary, zwykle się wtłacza całe brzemię niemoralności obecnej, zarzut niewiary stał się prawdziwym konikiem zwierzynieckim, na którym lubią harcować bigoci kategorji najrozmaitszych, a tymczasem to jest nieprawdą. W obu powyżej cytowanych przykładach niemoralności mamy do czynienia, mogę zapewnić najskrupulatniej, że szczerze wierzącemi

który się już zapowiadał oddawna i zwiastuje ową nową erę, o której wspomniałem powyżej, erę, gdzie człowiek myślący i dbały o dobro bliźnich postanowił walczyć przeciwko nałogowi pijaństwa, walczyć aż do chwili zwycięstwa. Postęp ten inauguruję tu u nas referatem niniejszym.

(C. d. n.).

---

i wielce pokornemi osobami. P. dyrektor banku, modli się bardzo przykładnie z książeczki, odbywa rekolekcje, uczęszcza do najświątobliwszego kościoła, spowiada się często i korzysta ze wszelkich błogosławieństw odpustowych. Żona dygnitarza i jej córka odbywają z wielkiem poświęceniem majowe nabożeństwa, nie spóźniają się nigdy na roraty, chodzą zawsze z książeczkami modlitewnemi do kościoła i nie opuszczają żadnych procesji, słowem są bardzo przykładnemi katoliczkami.

Wiedząc, że jednostajne przyczyny nie mogą wywoływać różnych skutków, musimy szukać źródła różnic gdzieindziej, nie w niewiarze. Zdaniem mojem, źródłem tem jest sposób używania trunków alkoholicznych. Czy to będzie ksiądz, a więc naczynie prawdziwego nabożeństwa i najprawdziwszej wiary, czy też heretyk bezwyznaniowy, jak tylko jeden i drugi zaczną pić regularnie i codziennie, zatracać poczną w jednostajnej mierze uczucia moralności, stąd też widzimy, że jedni i drudzy wykraczać będą przeciwko prawidłom moralności i że dwa przeciwległe bieguny podadzą sobie przyjacielskie dłonie na wspólnej arenie niemoralności.

Prof. B. Dybowski.

Włodzimierz Jarosz.

Straż pożarna.

(Obrazek wiejski).

II.

Radni oglądali się za swoimi kapeluszami. Wiedzieli o tem oddawna, że starostwo jest na to, aby wydawało rozporządzenia, a gmina na to, aby znacznej części tych rozporządzeń nie wykonywała. Czasem z lenistwa, czasem z przekonania, że polecenie jest złe, a często z powodu niewykonalności. Koniec końcem wszyscy, nawet wójt i postępowi jego stronnicy, mieli wątpliwość, czy urzędowanie ich nie jest komedją, dobrą do olśnienia gromady, ale dla jej dobra prawie niepotrzebną:..

Z takiem samem więc lekkiem sercem, jak wchodził, zabierał się teraz każdy do odejścia, a głowy jego, prócz pragnienia spoczynku, nie czepiały się ani na chwilę myśli, jakby wprowadzić w życie zawiłe przepisy policji sanitarnej z pożytkiem dla zdrowia ludzkiego, a ku zupełnemu zadowoleniu troskliwego starostwa.

* * *

— Hou, prru... panowie rada... Posiedzenie jeszcze nie skończone! — zawołał pisarz, zabierając się do jakiegoś kilkuarkuszowego okólnika.

Panowie rada nie taili swego niezadowolenia. Stali z kapeluszami w rękach, gotowi do wyjścia w każdej chwili i niecierpliwie czekali końca.

Pisarz czytał okólnik wydziału powiatowego, polecający gminom zakładanie straży pożarnych. Wydział przysyła nawet instrukcję dla naczelnika straży — obiecuje wyrobić kredyt na przyrządy do gaszenia ognia, daje wszystkie, jakie tylko może, ułatwienia i odwołuje się do dobrej woli rady gminnej, wierząc, że ta zrozumie najżywotniejsze interesy gminy itd. itd.

A radni stali na środku izby w żółtawem, brudnem świetle lampki i ścigali pamięcią ten straszny dzień, w którym ich wszystek dobytek, ich cała krwawica poszła z dymem na marne. Pamiętali morze ognistych języków, czepiających się wszystkich strzech po kolei — pamiętali bałwany ognia, przewalające swe skłębione cielska wzdłuż i wszerz po całem siole — mieli w pamięci jęk swych zagród nieszczęsnych, tonących w żarłocznym żywiole — i rozpaczliwą swą niemoc, kiedy najwięcej żylasta dłoń chłopa napróżno kuła wysiłki, aby położyć tamę pożodze — przypominali sobie swą nędzę i krwawe z nią później zapasy, kiedy na zwęglonych tramach chałup usiedli i szalejąc rozpaczą, to znów nadzieją miotani, zaczęli odbudowywać swe życie.....

Chwila niedawna — jeszcze białe, drewniane ściany ich chałup nie miały czasu zczerwienieć, jeszcze ich strzechy mchami nie porosły po ostatnim ogniu, jeszcze ich barki się nie podniosły, schylone pracy brzemieniem, z ich lic pot jeszcze prawie nie obsechł, co nim każdą grudkę ziemi oblali, nim naprawili ruinę...

A z okólnika przez usta pisarza, płynęły tymczasem plany przyszłej starszyzny: na-

czelnik i dziesiętnicy, dwa oddziały, wójt, jako najwyższa zarządzająca władza, woźnice do wozów z beczkami, pompierzy i ci, co na dachy mają wchodzić — cała ta hierarchiczna drabina waliła się na głowy biednych radnych, którzy, mając ciągłe styczności z różnorakimi urzędami, choć nie zdawali sobie sprawy z zawisłości jednych szczebli od drugich, wiedzieli jednak dobrze, że jakikolwiek tam wyżej istnieje porządek, to zawsze na samym dole jest chłop — i ten musi słuchać każdego, co chce mu jeno rozkazać!

A pisarz czytał dalej plany ćwiczeń, co mają odbywać się w pierwszą niedzielę każdego miesiąca od maja do września — czytał, że każdy mężczyzna między 17-tym a 45-tym rokiem życia powinien się stawić w tym dniu na rozkaz komendanta, czytał o próbach, o mustrze, o subordynacji.,...

Nareszcie skończył.

Chwila ciszy. Ojcowie gromady rozważali treść okólnika, aż pierwszy przerwał milczenie Adamski.

Kiwał głową w zamyśleniu i jakby do siebie przemówił.

— Tego jeszcze nigdy nie bywało...

— Ta nie... poświadczali inni. Wzruszali ramionami i nie wiedzieli, co z tem zrobić.

— No — panowie rada... jakże będzie?.. zapytał pisarz.

— E... żachnął się Rogal — niedoczekanie ich, żebym miał po dachach łazić...

Wójt myślał o niedawnym ogniu.

— Ba — odpowiedział Rogalowi — ale pewność by była...

Wszyscy, nowym rzeczom nieprzychylni, buchnęli:

— Wstyd — hańba... żeby gazdowie, jak pastuchy, po strzechach łazili...

Najwięcej oburzony był Więcak. A kiedy stał rozindyczony, machając rękami, mały, pękaty chwiejąc się na zgiętych ku sobie kolanami nogach, to litość brała na myśl, jak ten biedny chłopina wygramoli się na strzechę — i jak po niej będzie chodził.

Chłop był spokojny — w niedzielę świętą, po nieszporach, lubił się zaryć w słomę na boisku i spać — a tu mu każą być *fajermanem!*...

— Co oni jeszcze wymyślą?... skarżył się małżonek ostrej żony, wyciągając w łokciach zgięte ramiona ku górze i przybierając tym ruchem wygląd wielkiej, dobrze odkarmionej żaby.

— Nic, jeno koniec świata! — zahuczała konserwatywna część rady.

Ale wójt, co dotychczas mało się wtrącał do rozmowy, inaczej pojął tę sprawę. Młody jeszcze chłop był i znany ze swego nowatorstwa. Z wojskowych czasów pamiętał sikawki i myślał słusznie, że gdyby dwa lata temu była we wsi straż taka, wieleby dobra można było przed ogniem uchronić. A potem i trochę ambicji: strażaki, błyszcząca sikawka, komendant... Jeżeli powaga jego nie wybiegała dotychczas poza opłotki wóleckie, to teraz mógł być pewnym, że przez straż pożarną zwróci na siebie uwagę całej okolicy. Daleko będą gadać o Wólce i o nim, Marcinie Kwękale, za którego wójtowania gmina zaprowadziła straż — nawet starostwo i wydział powiatowy, co traktują wójtów, jak najmitów, będą musiały oddać sprawiedliwość postępowi i dzielności.

Zaczął mówić powoli, pukając wskazującym palcem w pismo, leżące na stole i kiwał głową przy każdem słowie.

— Ja myślę, panowie rada, że nie jest to takie złe, jak się widzi. Ani wam — zwrócił się do Więcaka — nie każe nikt łazić po strzechach, boście do tego niezdały, ani inszym, co im już dawno czterdzieści pięć lat minęło. Bo takich do straży nie trza. Na strzechy polecą młodzi — nikogo się ta za nogi nie będzie wysadzało. Nie trza wam gadać A zawdy wieś będzie bezpieczniejsza. Przecie pamiętacie, co było przed tamtym rokiem. Łaba żywa ze wsi nie wyjdzie, jak się, broń Boże, co stanie. Strzecha przy strzesze... Nie trza wam gadać.

— Mnie się widzi — zaczął Skiba, ręce za pas wkładając — że taki dobrze, wójcie, gadacie. Odżałować każdy po parę szóstek, a zawdy będzie bezpiecznie; Co tu dużo gadać. Zawdy to — co sikawka, to sikawka. Jak lunie, to choćby na wierszyczek topoli, a zaleje. To jest dobra rzecz.

— A jakże.. — zawtórowali Pietrek z dołu i Starczyk, cioteczny wójta.

Starszych radnych ukłuły te potakiwania. Naiwne ich umysły uważały każdą sprzeczkę w radzie, z różnicy zdań płynącą, za dowód osobistej niechęci.

Adamski, Więcak, Rogal i Korecki, wszyscy ubrani w zgrzebną bieliznę, z szerokimi pasami na biodrach, obuci w chodaki, stali ściśnięci koło siebie i chmurnie patrzyli na partję wójtowską.

A koło wójta skupiło się trzech innych — chłopów młodych, z krótkimi włosami, w wysokich „polskich“ butach, a każdy z nich miał coś wojskowego na sobie: bluzę, czy spodnie, bodaj kamizelkę...

Pomiędzy obiema stronami stała reszta radnych. Chytry Patyk, co przybrawszy bardzo zmartwioną minę przysięgał w duszy nie głosować ni za ni przeciw, — Kaczor na twarzy obrzękły, co myślał w tej chwili o targu piątkowym w Sanoku, — Wojna, co nie wiedział, na którą przechylić się stronę i dwaj Suchcikowie, patrzący po sobie i pytający się wzajem o radę.

A długowłosi rzucali szorstkie słowa krytyki nowego projektu.

— Słychana to rzecz, żeby kiedy we wsi *fajermany* były?..

— Jak już pan Jezus nieszczęścia dopuści, to i sikawka niewiele pomoże...

— Czy to nie leci każdy z konewką, jak jeno posłyszy, że się gdzie pali?...

— Ojcowie tego nie robili, dziadowie nie robili, to i my nie będziemy...

Wójt zobaczył, że dziś nie dobije sprawy.

— Wiecie co, panowie rada — przemówił, stukając w stół palcem i kiwając głową. — Późno już jest — kurki wnet zejdą. Człek jutro musi wstać do roboty. Nie trza wam gadać. Najlepiej, jak pójdziemy spać. A w niedzielę, po nieszporach, panu Bogu się pomodliwszy, zejdziemy się w karczmie na radę. Po pana pisarza ja poślę szkapę do miasta. Bo teraz już noc — ja jutro mam skosić całe stajanie koniczu za ogrodem...

Panowie rada zaczęli gadać o tegorocznych koniczach, o sianie, o żniwach, co już na karku i rozchodzili się kupkami na dobrze zasłużony spoczynek. (C. d. n.)

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

(Ciąg dalszy).

XXX.

Trup Koziny pozostał na szubienicy do zachodu słońca. Chodów nie było już o tym czasie w mieście. Nie mogli nawet pomodlić się przy zwłokach swego męczennika. Starosta nakazał im wnet miasto opuścić pod strażą wojska, które im towarzyszyło przez część drogi. Wracali do domu znękani i wzburzeni. Jeżeli Lomikar chciał wrazić im w pamięć ów dzień, to celu dopiął w zupełności. Któżby z Chodów mógł zapomnieć dwudziesty ósmy listopada? Będą o nim pamiętali do śmierci, pamięć pójdzie z pokolenia w pokolenie, nie zapomną nawet i wtedy, gdy zabraknie tych oto świadków małoletnich *). I nie jeden z ojców, szeptał, pochylony nad synkiem, aby ów pamiętał, jak mężnie stawał Kozina w obronie ich praw i jak bohatersko poniósł śmierć dla dobra ludu, dla jego przyszłości. A dalej zaklinał dziecko, aby pamiętało, że to wszystko Lomikar uczynił, i aby nie przebaczyło mu nigdy, jemu i jego potomkom...

Ziemia chodzka znowu ożyła — bólem! Mężom, którzy byli w Pilznie ćmiły się oczy i głos rwał w piersi, gdy opowiadali w domu o kaźni, a słuchacze zanosili się nieraz od płaczu... Przez wiele dni wioski zachowywały się tak, jakby dopiero co skończyła się w ich domach uroczystość pogrzebowa. Nikt nie robił na pańskiem i ze dworu nie śmiano ich do tego przynaglać. Nie śmiano też rozganiać, gdy zgromadzili się tłumnie w Domażlicach, a potem udali się stamtąd z żonami i dziećmi do kościołka chodzkiego za miastem, gdzie ksiądz odprawiał nabożeństwo żałobne za duszę Koziny.

W starożytnej świątyni gotyckiej, której ściany zdobiły stare malowidła, której płyty przemawiały mnogimi napisami grobowymi, zgromadził się liczny zastęp nietylko Chodów, lecz i mieszczan, dla złożenia hołdu zmarłemu. W pierwszej ławce uklękły matka, żona i dzieci Koziny, modląc się za duszę swego najdroższego, którego zwłoki spoczywały daleko od nich. W najciemniejszym zaś kąciku, pod chórem, klęczał jakiś mieszczanin i modlił się z żarliwością wielką. A gdy rodzina Jana mijała go po skończonej mszy, pochylił głowę jeszcze niżej, aby nie można było dojrzeć rysów jego twarzy. Był to Just, który po odsiedzeniu kary za podburzanie — jak wyrok opiewał — wrócił był niedawno z więzienia do domu.

Lammingera nie było wtedy w Terhanowie. Z Pilzna nie wrócił już na zamek, jeno posłał z zawiadomieniem do żony, że oczekiwać jej będzie w tem mieście, aby udać się mogli wspólnie w dalszą podróż.

— Strach i nieczyste sumienie gonią go w świat! — powiadano po wioskach i w mieście.

Wkrótce potem zima zawitała w góry. Smutno, smutniej, niż kiedykolwiek, mijały dni za dniami, zwłaszcza w Ujeździe. Stary Przybek pogrążył się bardziej jeszcze w ponurą zadumę. Nie rozproszyła jej ani wiosna, ani wesele Marynki z młodym Szerłowskim, które się odbyło zaraz po żniwach. Ku jesieni dopiero, gdy Lamminger przyjechał, jak zwykle, na zamek, starzec ożywił się nieco i często chodził na wzgó-

*) Pamięć Koziny woła i po dziś dzień głośno po ziemi czeskiej. Na górze Hradku, wznoszącej się po nad Ujazdem, wsią rodzinną Koziny, stanął pomnik ku jego czci. Przedstawia on postać Choda w starodawnym stroju, stojącą na wysokim cokole, z ciupagą w ręku i ogromnym psem u nóg. Lud czeski odbywa doroczne pielgrzymki do pomnika mężnego obrońcy swych praw. Opis jednej z takich uroczystości w roku jubileuszowym zniesienia pańszczyzny — wraz z wizerunkiem banderji chłopskiej, otwierającej olbrzymi pochód,— podał warszawski „Tygodnik Illustrowany“, w nr. 30 z r. 1899. Tenże sam nr. „Tygodnika“ zdobią illustracje, przedstawiające pomnik Koziny, portret żyjącego obecnie jego potomka, dorodnego Choda Sladkiego, — oraz chorążego Chodów z rozwiniętym sztandarem. (Przypisek Tłumaczki).

rze, z którego widać było Terhanów. Wierzył niezachwianie, że grom gniewu bożego musi dosięgnąć dręczyciela Chodów i wyglądał onej chwili z niecierpliwością i nadzieją. Gdy jednak burze ucichły, a ziemię ściskać poczęły przymrózki późnej jesieni, Przybek wpadł znowu w odrętwienie i snuł dalej, niby pająk pajęczynę, myśli jakieś bez końca i przerwy.

Pan z Albenreuthu późno przyjechał w tym roku do Terhanowa. Po żniwach dopiero. Na pozór był równie zimny i ostry, jak zawsze, bliższe jednak otoczenie dostrzegało w nim jakąś troskę, której przedtem nie było. Zdrowie też zaczęło mu nie dopisywać. Piotr, stary pokojowiec, zauważył niejednokrotnie, że pan, idąc przez salę, chwytał się nagle stołu lub krzesła, a potem skarżył się na zawrót głowy. Wierny sługa, który sypiał wedle pokoju swego pana, słyszał często jęki i krzyki, a gdy pewnego razu uchylił portjerę, ujrzał przy świetle lampki nocnej hrabiego, który, zbudzony strasznym jakimś snem, siedział na łóżku i toczył wokoło przerażonemi oczyma. W inną zaś noc burzliwą Lamminger sam przywołał go do siebie.

— Podaj mi kalendarz! — rozkazał zdławionym głosem, z perlącemi się na czole kroplami potu.

— Kalendarz, Wasza Miłość? Teraz, o tym czasie?

— Tak... chcę wiedzieć.., jaką datę dziś mamy — bełkotał hrabia, nie mogąc przyjść do siebie.

— Jutro dwudziesty dziewiąty — wiem to na pamięć, Wasza Miłość.

Hrabia drgnął.

— Jakiego miesiąca? — pytał spiesznie.

— Września, Wasza Miłość...

— Ach, tak!.. Sen ów zmącił mi pamięć... Spotniałem też bardzo... Podaj mi świeżą bieliznę.

Chorobliwe przypadłości trwały krótko, lecz powtarzały się coraz częściej, wpływając ujemnie na usposobienie hrabiego, który stawał się codzień bardziej zgryźliwy, małomówny, zamknięty w sobie. Żona zapytywała nadaremnie, co mu jest,— nadaremnie też błagała, aby zasięgnął porady lekarskiej. I dla niej samej życie w zamku stawało się coraz smutniejsze, gdy nagle błysnął promień pociechy. Padł on z listu najmłodszej córki, która donosiła, że wkrótce przyjedzie z mężem do Terhanowa. Hrabina, rozradowana do głębi duszy, pośpieszyła z wesołą nowiną do męża, który wrócił był właśnie z Kęt. Wysłuchał spokojnie jej słów, wnet jednak dziwny uśmiech przebiegł mu po ustach.

— Kto wie, czy doczekam ich przyjazdu — rzucił, jakby do siebie.

— Czemu? — spytała żona tonem zdziwienia.

— A cóż to, zapomniałaś, że ów chłop, ów Kozina, pozwał mię na sąd boży...

Zaśmiał się, lecz takim śmiechem, że hrabinę dreszcz przeszedł od stóp do głowy.

Rozpoczęły się też wkrótce mgły i słoty jesienne, a wraz z niemi stan zdrowia Lammingera pogorszył się jeszcze bardziej. Doświadczał teraz huczenia w głowie, zdawało mu się, że słyszy dziwne jakieś odgłosy, jakby dźwięki „dzwonów pogrzebowych“, jak tłumaczył z uśmiechem żonie.

Pewnego wieczora, w połowie października, pani z Albenreuthu siedziała razem z mężem w sali jadalnej. Ona pochylała się nad jakąś robótką, on czytał. Nagle hrabina podniosła głowę, wydało się jej bowiem, że szlachetnie urodzony pan rzucił się niespokojnie w fotelu... Jaka bladość okryła mu lica! Cisnął książkę na stół i patrzał przed siebie osłupiałym wzrokiem.

(D. n.)

Z pism i książek.

Henryk Ułaszyn. „Dr. Władysław Wisłocki“, notatka biograficzno-bibljograficzna; Kraków 1901. W drobnej broszurce pod powyższym tytułem oddaje p. Ułaszyn hołd pamięci człowieka, który jako najzasłużeńszy współpracownik jagiellońskiej *Almae Matris*, umarł w przededniu uroczystości jej 500-letniego jubileuszu. Dnia 4 czerwca 1900 roku zmarł dr. Władysław Wisłocki, najznakomitszy bibljograf polski i od śmierci śp. Żegoty Paulego historjograf uniwersytetu krakowskiego.

Pracę swojego żywota rozpoczął zmarły od wydania książki pt. „Nauka języka polskiego w szkołach polskich przed Kopczyńskim“. W roku 1869 został kustoszem bibljoteki Ossolińskich we Lwowie, a w r. 1874 bibljoteki Jagiellońskiej. W uznaniu zasług, położonych około bibljografji polskiej, jako założyciel, wydawca i redaktor „Przewodnika bibljograficznego“ i jako gorliwy zbieracz materjałów do historji, literatury, oświaty i języka polskiego, został śp. Wisłocki w roku 1878 czł. korespondentem, w r. 1880 czł. czynnym Akademji umiejętności w Krakowie, a w r. 1896 wszedł do zarządu nowozałożonego towarzystwa „Österreichischer Verein für Bibliothekswesen“, w czem dowód że i za granicami naszego kraju zyskały sobie uznanie zdolności i wiadomości bibljograficzne śp. Wisłockiego.

Książeczka p. Ułaszyna kończy się bibljograficznym spisem prac śp. Wisłockiego, ułożonym w porządku chronologicznym tak, jak one się pojawiały, czy to osobno, czy w rozmaitych czasopismach fachowych. Są tam między nimi i prace syntetyczne i poglądowe na całokształt lub część jakąś dziejów piśmiennictwa polskiego, ale do najcenniejszych rzeczy należą opracowania rzadkich druków i manuskryptów, które śp. Wisłocki znajdował w bogatej książnicy jagielońskiej. One to, w połączeniu z szeregiem drobnych monografij, stanowią głównie wartość piśmienniczego dorobku śp. Wisłockiego.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5